Rok III.

Nr. 39.

Nr. 39.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 27 września 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Nowa i stara szkoła.

W społeczeństwie naszém nie nadużywano nigdy z takiém świętokradztwem jak w dzisiejszych czasach wyrazów religja i nauka.

Ludzie drwiący wewnętrznie z dogmatów religijnych, których przeszłość wskazuje, że żadnéj nie mają wiary, bez Boga w duszy i sercu, żyjący niemoralnie, osłaniają się puklerzem form religijnych i z po za tego uderzają zuchwale w każdego, choćby najprawszego człowieka, który nie składa po faryzeuszowsku tak rąk jak oni, który brzydząc się hipokryzją, wzbrania się powtarzać za nimi głośno w szumnych wyrazach kłamanego przywiązania do Kościoła, — ludzie ci nie mogą znieść obok siebie nikogo, co nie należy do ich koterji i w obec ludu znaczą go piętnem niedowiarstwa, zmierzającém do oderwania narodu od Kościoła, a natomiast wydobywają podupadłe, obmierzłe indywidua, bez żadnéj moralnéj wartości, tymi się posługują i tym każą toczyć walkę z własnymi rodakami niby to w obronie religji, która z téj strony nietylko nie jest zagrożoną, ale nawet wspieraną. Jest to niepraktykowana u nas przewrotność, któréj przyczyn szukać należy w braku rozumu, w nikczemności oraz złości ludzkiéj, a głównie w chęci wichrzenia społecznością dla przeprowadzenia egoistycznych celów.

Tak samo jak z religją ma się rzecz i z nauką. Jak tylko udało się komu przedrzeć pierwszą zasłonę nauki, to olśniony jéj blaskiem wpada w zachwycenie, chełpi się z swą mądrością i nie tai pogardy dla tych, którzy uznać jéj nie chcą, pomimo codziennych klęsk nie waha się otrębywać zwycięztwa nowych swych teorji. Podobni ludzie mają siebie za uczonych, stają się fanatycznymi głosicielami nauk których nie rozumieją, naprzykrzają się publiczności swemi rozprawami jak i poruszaniem spraw, które nieznajomością rzeczy zamącają; a to wszystko nie dzieje się dla nauki ani też dla dobra ludzkości, ale tylko dla własnéj adoracji i oddania pogańskiéj czci bałwanowi, który się zowie Ja. Pyszny ten bałwan sprowadza ich z wysokości nauki, która jest długiém, ciągłém pasmem mozolnéj pracy, na pole agitacji, która nie pyta o sumienie, honor, pracę, tylko za warunek kładzie przebiegłość, chytrość i zmienność: to agitując téż w kierunkach jakie ich najłatwiéj prowadzą do osobistych celów, pędzą oni społeczność jużto na patrjotyczne, jużto na ultramontańskie, jużto na kosmopolityczne, jużto wreszcie na socjalistyczne nawet koło, aby tylko ją utrzymać w szalonym wirze, który do góry ich podrzuca, a nie dopuścić stanu normalnego, który wykryłby ich nicestwo i do ostatniego zdegradował szeregu. Najmilsze bywają im sprawy ludu,

który w swéj poczciwości wierzy swym opiekunom a nie wié o tém, że on ma tylko służyć za piedestał do wymarzonéj ich wielkości.

Takie oto indywidua wydaje dzisiejsza szkoła nowa tak pod względem religijnym jak i naukowym: są to skutki pomięszania cudzoziemskiego systemu naukowego z wrażliwością polską, oraz połknięcia a nieprzetrawienia niemieckich doktryn. Okropnym bywa skutek długiéj niewoli, jeżeli czoło narodu zaczyna usypiać, przestaje o przyszłości myśleć, a naukę ludu zostawia umysłom niespokojnym, zarozumiałym i do wszystkiego zdolnym. Wtenczas dopiéro niecnoty biorą górę, swój na swego bije, a ludzkości zamiast czystéj nauki podają przewrotne, zawiścią zaprawione teorje. Smętném okiem wodząc do koła możemy z Medeą Seneki powiedzieć: „Video meliora, proboque, deteriora sequor."

Pozazdrościł nam zły duch téj miłéj harmonji i braterskiéj zgody, która we wszystkich łączyła nas sprawach, która na szczytnemi zasadami ubitą a do wspólnego celu zmierzającą wprowadziła nas drogę i nasłał nas swą czeladzią, która w postaci publicystów, ekonomistów, trybunów ludu i wszelkiego rodzaju filantropów, postawiła sobie za zadanie poprzewracać wyobrażenia, siać rozterki i niezgodę, ażeby w ogólnym zamęcie tém obfitszy miała połów. Taka oto jest dzisiejsza nowa szkoła, któréj wpływ, jeżeliby się u nas miał rozszerzyć — przepadlibyśmy.

Przypatrzmy się teraz z kolei staréj szkole. Nie była i ona bez stron ujemnych, za mało troszczyła się o sprawy społeczne a za wiele zatrudniała szeroką polityką. Wszelako, jeżeli bezstronnie osądzić ją mamy, to wychowała ona ludzi, którzy wprawdzie o miłości ojczyzny rozprawiać nie umieli, ale za to krwią swą i mieniem salwowali narodowy honor, którzy jak umieli tak pracowali, lecz zawsze z dobrą wiarą i oddaniem się sprawie publicznéj. Uczucie religijne wysoko podniesione nie dopuszczało posądzań o brak katolicyzmu, oskarżań o masonerją, a faryzeuszostwo i frymarki religijne na wielką dzisiaj prowadzone skalę, nie ujrzały jeszcze światła dziennego i szamotały się niecierpliwie na łańcuchu przy boku Lucypera. Nie deklamowano o łączności Kościoła z narodem, nie rzucano klątw na tych, którzyby przymierze to rozerwać chcieli, a których nie ma w rzeczywistości — ale było ono silniejsze jak dzisiaj, bo żadna nie targała go intryga. Wiara i Ojczyzna było jedno hasło na cały kraj, znane w lepiankach jak i pałacach, a odgłos jego wyrywał ludzi z kół rodzinnych, dla niego porzucali domy, prywatne swe zajęcia i biegli tam, gdzie ich wzywał kościół i kraj. Tak bywało za szkoły staréj! — a dzisiaj?!... apostata zrzuca sutannę, staje się libertynem, bluźni samemu Bogu, a zmieniając się jak kameleon, po niedługim czasie w imie wolności zasad zostaje ultramontaninem, — co w języku nowéj szkoły zowie się przejściem z jednego do drugiego obozu.

Nauki uprawiała stara szkoła zasadniczo i ściśle, nie rzucała się na wszechstronne wiadomości, ale za to czego nauczyła, to doskonale; krom korzyści moralnych i materjalnych nauki były ozdobą, uprzyjemnieniem życia i wpływały na złagodzenie obyczajów. Uczono się dla poznania, zgłębienia nauki i zastosowania jéj w życiu, ale nie dla zrobienia szybko karjery; to téż nie było przykładu, aby ktokolwiek niedouczywszy się, śmiał narzucać się społeczności na reformatora. Skromność była ozdobą ludzi nauki obok głębokiéj wartości wewnętrznéj, a ta wartość przebijając się i na zewnątrz znaczyła się prawością, wysokiém poczuciem honoru i ujmującemi formami.

Dzisiejsza szkoła nie pojmuje i nie zgłębia nauki jako takiéj, tylko ją traktuje jako środek prześlizgnięcia się przez świat, chwyta z niéj co jéj potrzeba, wszystkiego po trochu, co się téż odbija w jéj uczniach, którzy nadęci wszechstronném wykształceniem a raczéj wewnętrzną czczością nie mogą się poszczycić moralną wartością, która téż wreszcie w ich oczach podrzędnego jest znaczenia: u nich racjonalizm jest dogmatem, on ich co do zasad poucza, że zasady zmieniać można jak rękawiczki, on im co do prawości tłumaczy, że prawość to jest absurdum, które w czasach zabobonów mogło mieć jakieś znaczenie, a dzisiaj spryt i zręczność są głównymi przymiotami charakteru postępowca, on ich co do uczucia honoru objaśnia, że honor jest zabytkiem średniowiecznéj drażliwości, że dłoń i policzek może się spotkać bez ubliżenia godności osobistéj itd. itd.

Bezdenny ocean wyobrażeń dzieli szkołę starą od nowéj. Gdyby z prochu powstali ojcowie, zaparliby się swego potomstwa! Poważne postacie szkoły staréj zsuwają się zwolna do grobu i zabierają z sobą resztki cnót obywatelskich i domowych. O! gdyby ostatki tych resztek, które się jeszcze w uczciwych przechowują rodach, wystąpiły z domowego zacisza i gdyby znalazła się powołana ręka, któraby je krzewić i pielęgnować umiała, to jeszcze — jeszcze i nam szczęśliwa zaświecićby mogła gwiazda. Ale jeżeli zły duch nowéj szkoły uśpi skrzydły wampira czujność naszą i wyciągnie z duszy naszéj szlachetne pierwiastki polskie, — to wtenczas wybije ostatnia godzina i otoczą nas nocne ciemności na wieki....

Trzéj najznakomitsi przedstawiciele angielskiéj powieści:

Lord Lytton Bulwer — Charles Dickens — Thackeray

przez

Leona Quesnel.

I.

Lord Lytton Bulwer.

„Niegdyś, w żelaznym wieku naszych krzepkich praojców — rzekł niedawno jeden z lepszych krytyków angielskich — potrzeba było spełnić coś wielkiego, ażeby złudzić lub oszukać współczesnych. Dziś, gdy ich kto zabawi, wyszydzi, obałamuci, gdy im pochlebi, wieńcami obrzuci — a potém umrze, — wznosi się okrzyk: „Pochować go w opactwie Westminsteru!“ I tam go zaniosą i pochowają — a w lat 50 późniéj ciekawi miłośnicy wielkości przeszłych, zwiedzając nekropolę, z cicha zapytają się nawzajem: „Co to za jeden?“

Nie chcemy bynajmniéj przeczyć, że pierwszą powinnością narodu jest oddawanie czci wielkim mężom, którzy sławę jego i świetność podnieśli. Nie powątpiewamy, że Lytton Bulwer zjednał sobie w ojczyznie prawo do trwałéj pamięci; ale, gdy wspomnimy, w jaki to niekiedy sposób pozyskuje się zaszczyt grobowca w Westminsterze; gdy sobie przypomnimy, że go odmówiono Milton'owi i Byron'owi; gdy widzimy, że od względów dziekana opactwa zależy otworzyć podwoje tego przybytku; gdy pomyślimy, że dzisiejszy dziekan, rozumny p. Stanley, może być zastąpiony przez człowieka ciemnego, — wyrzeczemy pewno: że prawa lorda Lytton Bulwer, do spocznienia wśród najznakomitszych mężów Anglji, wymagały wyroku więcéj prawomocnych sędziów. Bo zaszczyt ten, niestety, do tyla zprofanowanym został, że nie starczy już za nagrodę zasług położonych przez zmarłego.

Lord Lytton Bulwer był gorliwie czytanym, lubionym, kochanym przez wszystkich, a nigdy prawie przeciwników nie spotkał. Pisał blisko przez pół wieku, bo pierwsza jego praca ma datę r. 1828. A gdy go śmierć zaskoczyła, kończył właśnie dzieło, którego Anglicy z niecierpliwością wyglądają dotąd, i już naprzód oddają mu poklask*). Przez pół wieku czarował czytelników swoich i zostawał bezprzerwanie w styczności duchowéj z krajem. To ostatnie właśnie nadaje mu pierwszeństwo przed innymi pisarzami. Bo ani Dickens, ani też Thackeray nie mieli sposobności, by tak długo i trwale snuć wątek myśli swoich pospołu z myślą ogółu. Tamci stanęli w obec publiczności już skończeni i wielcy. Dickens na samym wstępie oddał pod sąd czytelników swoje najcelniejsze prace, a „Vanity fair“ Thackeray'a nie mógł młody napisać autor. Bulwer zaś od dzieciństwa głośno myślał: młodziutkim będąc pisywał dla dzieci; jako młodzieniec dla młodzieży; jako mąż dojrzały dla myślicieli.

Edward Jerzy hrabia Lytton Bulwer urodzony w roku 1805, był synem jenerała Williama Bulwer i jedynéj córki Riszarda Warburton Lytton, która pozyskała zezwolenie królewskie przelania nazwiska i tytułów rodzinnych na dzieci swoje. Brat jego młodszy, zostający przy większych poselstwach, nazywał się Henryk Dalling Lytton Bulwer — przybrawszy nazwę Dalling od jednéj z włości swoich, dla uniknienia możebnych pomyłek. Edward Robert Lytton Bulwer, który w zeszłym roku zajmował miejsce pierwszego sekretarza ambasady angielskiéj w Paryżu — ożeniony z córką Edwarda Villiers, brata hrabiego Clarendon — jest synem najstarszym i dziedzicem znakomitego autora i męża stanu.

Lord Lytton do najszczęśliwszych należał ludzi. Zawód jego polityczny był bez walki, a pożyteczny zarazem; jego powodzenie oratorskie niezaprzeczoném; dzieła literackie, witane zawsze z poklaskiem, napotykały jedynie bardzo szczupłą liczbę przeciwników. Bulwer był tyle szczęśliwym, że sprostał we wszystkiém wiekowi swojemu; dar ten przyrodzony nadaje talentowi powodzenie zawsze — gdy tymczasem ludzie genjuszu, wyżsi ideą od współczesnych swoich, odcierpieć to zawsze muszą. Lord Lytton nie należał nigdy do tych ostatnich. Jako myśliciel trzymał się więcéj na powierzchni przedmiotów niż sięgał ich głębi; jako poeta nie wzniósł się po nad mierność. Namiętności wielkich, liryzmu prawdziwego oddać nie potrafił. Ale jako spostrzegacz i malarz dziwactw ludzkich, zwłaszcza też wyższego towarzystwa był nieprześcignionym. Wielki Balzac dokładniéj zbadał głębię ludzkiéj duszy, lecz nie oddał z taką wytwornością jak Bulwer, śmiesznostek, podrzędnych namiętności i ukrytych nędz wielkiego świata. Nie stał się ich fotografem wiernym i bezstronnym, bo większym od Bulwera był artystą i z wyższym zapałem skreślał to, co w ściślejszych obrębach zawartém bywa. Bulwer natomiast dagerotypował bezwzględnie wszystkich, jak się oczom jego przedstawiali. A postawiony tak pomyślnie, że wszystko mógł dostrzedz i poznać w towarzystwie of fashion i w świecie politycznym, miał jeszcze i tę korzyść, że uchodził za bezstronnego. Bo przez czas długi będąc członkiem nie paratu ale baronetage'u, znał zarówno szlachtę jako też i wyższe mieszczaństwo — i należał do arystokracji, nie będąc wielkim panem. Biorąc żywy udział w czynném życiu polityki i administracji, potrafił dokładnie odszkicować stan społeczny kraju i tegoż przejściowe epoki. W nim i dziełach jego odzwierciedla się wiernie świat salonów i sfery rządowe. Bulwer zaprawdę jest mężem XIX wieku, któremu przypatrzył się z góry — i Anglikiem, jakiego nie było jeszcze.

Dzieła Bulwera cztery stanowią działy: romanse obyczajowe — romanse historyczne — powieści fantastyczne — i romanse, które w braku lepszéj nazwy, romansami występku nazwiemy. Pierwsze stanowią serję różnéj wartości. Ostatnia praca jego nie wyszła dotąd i nie wiemy do którego działu to dziecię tajemnicze policzoném zostanie. Twierdzą, że jest znakomitém, a publiczność angielska już je naprzód adoptowała. Wszystkie zaś, jakkolwiek różnią się z sobą, mają jednę i tę samą własność, to jest: ambicję — ambicję pospolitą, by odzierzyć jak najwięcéj pieniędzy; albo też szlachetniejszą ambicję, pozyskania władzy.

Pomiędzy pracami młodości jego (romansami obyczajowemi serji I) najznamienitszym jest „Pelham“, który ukazał się pierwszy. Po nim wyszedł „Godolphin“, daléj „The disowned“ (Odepchnięty) i „Night and morning“ (Noc i poranek). Są to obrazy zdjęte ze społeczności dzisiejszéj: jak to uposażeni szczęśliwiéj do walki z życiem, drogą powodzeń torują sobie pomyślność. — Młody Bulwer wyszedł na świat promieniejący, pełen wesela, świeżości umysłu — i obfitym strumieniem dary te tchnął w utwory swoje. Jego „Maltravers“ to on sam. Pla-

*) Ocenę téj powieści p. t. „Kenelm Chillingly“ wyszłéj już obecnie z druku a nieobjętéj w ramach niniejszéj rozprawy, podamy niebawem w „Przeglądzie literatury zagranicznéj.“ (Przyp. Red.).

nem autora było widocznie pragnienie porwania nas wraz z sobą do nauki życia. Miłości naznaczył miejsce, jakie w wiośnie żywota zająć powinna: ona staje się natchnieniem najwyższém, interesem wszechwładnym poety i bohatera. Wszelako nie jest jedynym w niém prądem, ani też główną usiłowań i walki nagrodą. Bo zawsze i w każdéj okoliczności nagrodą, którą Bulwer dla swoich najdroższych kreacji przeznacza, jest sława. Nieszczęście i upadek bohaterów jego nie jawią mu się w myśli nawet — tak samo, jak i we własném jego było życiu. Obdarza ich zwykle urodą, genjalnością, wykształceniem, odwagą, silną wolą — wszelką wyższością natury i wychowania. Potém bierze ich za rękę i prowadzi z tryumfem w świat przez nich podbity. Młodzi jego bohaterowie, cienie i odbłyski własnéj jego szczęśliwéj i świetnéj młodości, biegną wszystkiemi ścieżkami do szczęścia i sławy. Jest to potrzebą natury jego i ani myśląc o tém, tchem jednym tworzy szczęście Pelham'a, Godolphin'a i Maltravers'a — publiczności i samemu sobie.

Pelham, ów wykwint towarzyskiéj płochości i obłudy, przedstawia nam typ doskonały młodego człowieka wielkiego świata. Kreśląc tę postać, autor posiadał już całą sztukę tworzenia i pokazał nam potęgę eleganckiéj krytyki, wytwornego pochlebstwa i grzecznego kłamstwa, wykonane śmiało i raźnie — nie niwecząc bynajmniéj sympatji a nawet i szacunku dla cnót rzeczywistych swego bohatera. Jest to zaprawdę niepospolity artyzm — niby sztuka łamana genjalności literackiéj. Niestałość Pelham'a, jego kłamstwa odurzające, łatwość stania się wszystkiém we wszystkiém, zgadzanie się ze wszelkiego rodzaju ludźmi — nie dodając, że i z kobiétami wszystkiemi; tolerancja jego dla każdéj moralności; sposób traktowania polityki w rodzaju rzemiosła, z którego się żyje; to wszystko stałoby się wstrętném dla czytelnika, gdyby nie wyszukana zręczność, z którą autor oddał stronę uczucia — stronę natury młodego śmiałka. Czyni on go tak odważnym, czułym, dobrym i pełnym poświęcenia w razie potrzeby — że zacinamy usta na skandale wszelkie. Nadto wyznajmy, ku czci albo też sromocie autora, że posiadał umiejętność podania publiczności tego, czegoby od nikogo innego nie była przyjęła. A jeszcze, jakżeż szczęśliwym zrobił tego Pelham'a. On wszystkie podbił sobie serca. Małżonka uczonego, wielka pani paryzkich salonów, filozof, mędrzec, lord Gulateson, Job Jahnson, nawet i przekorna mistress Clutterbock, — wszyscy jemu podobać się pragną. Urodził się zwycięzcą i bez trudu, słówkiem jedném zręcznie zastosowaném, komplementem umiejętnym — co więcéj, jedném niekiedy spojrzeniem, wszystkie przeciwieństwa usuwa.

Szczęśliwość Bulwera na całém jego literackiém odbija się potomstwie. Clarence Linden, owo dziecię opuszczone, znajduje miejsce zaszczytne obok brata swojego, dziedzica wielkiego imienia; Maltrawers pozyskał sławę w całéj Europie; Godolphin otrzymał rękę hrabianki i pieniędzy wiele; Morton'owi dostało się wszystko, jedném słowem wszystko! — Potrzeba wprawdzie dla porządku rzeczy i cienia nieco w tym obrazie świetlym — lecz temu wystarczą: ruina Graineville'a i nieszczęście Mordaunt'a. A nie są to przecie pierwszorzędni bohaterowi — i czytelnik ich nie lubi, nie sympatyzuje z nimi, — więc ich wymaganiom krytyki literackiéj poświęcić można. A nie zachmurzy to bynajmniéj horyzontu promienistego, na którym — wedle żądań publiczności — wybiega zwykle postać tryumfatora. Istnieją jednakże w świecie tryumfatorowie różni — i autor przekonywa nas rychło, że o tém wie dobrze! Są tacy, którzy dosięgnąwszy celu, doznają szczęścia i radości. Inni znowu doświadczają, że cel ten im znika, gdy już dobiedz go mieli. W sercu każdego bohatera — zwłaszcza téż bohatera romansu — zrodzi się coś zawsze, co przechodzi zakres realizmu życia i wtedy to dusza poety otwarte ma do polotu drogi. Bo jeżeli Bulwer nie pojmował życia bez szczęścia — uwłaczałoby to charakterowi jego, gdybyśmy wierzyli — jak to niektórzy krytycy czynią — że powodzenie dlań życiem było jedynie.

Starzejąc się Lytton, poddał się wiekowemu wpływowi i podniósł nieco typy ludzi wielkiego świata. Ztąd Alban Morley, pod względem moralnym, wart nawet więcéj jak Savile. Bulwer był jednak wolnym od uprzedzeń wszelkich, pozostał zawsze spostrzegaczem bezstronnym i szczerym — i ztąd też charaktery znamionujące kastę nie zacierają się nigdy w jego kreacjach.

Historyczne romanse Bulwera były pierwsze, z któremi poznajomiono się po za kanałem, jako to: „Ostatnie dni Pompei", „Ostatni z baronów" i t. p. „Rienzi" został tłomaczony na język włoski i przyjęty z wielką za Alpami sympatją. Włosi przeczuli, że utwór ten przyczyni się wiele do popularności ich sprawy w Anglji, i nie omylili się — bo wielką jest prawdą, że tak w polityce jako i w rzeczach innych wielkie skutki łączą się często z drobnemi przypadkami.

„Ostatnie dni Pompei" niepospolite miały powodzenie wśród publiczności angielskiéj. I jeżeli archeologja u nas zdyskredytowaną poniekąd została, współrodacy Bulwera upierają się dotąd, że rozpoznali miejsce gdzie stał dom roskoszom oddanego Glaucus'a. „Ostatnie dni Pompei" są zarysem błyszczącym złotem i purpurą, uczuciem i namiętnością, muzyką i poezją. Jest to rozkosz bez granic, uczucie do najwyższego podniesione szczytu — bezprawia wszelkie ludzkiéj natury: zbytek złego, a przytém — jeżeli wyrzec wolno — entuzjazm i poświęcenie. Wszystko zespala się w tym utworze: występek i cnota, miłość czysta i zmysłowość, wielkość i nędza. A jeżeli wątek nieco jest słabym, włókno za miękkie — jak we wszystkich pracach szlachetnego lorda — kontrasty owe nadają temu utworowi co najmniéj, pewien energiczny charakter.

Podług nas, najprawdziwszym zaszczytem pisarskim Bulwera, są jego powieści obyczajowe serji IIgiéj — te, które już w dojrzalszym napisał wieku. Pierwsze dzieło téj epoki „The Caxlons" wykazało nam całą znakomitość literackiéj jego potęgi. A istnieje tak wielka różnica pomiędzy tym utworem — który wyszedł pod anonymem — a poprzedniemi, że ani domyślano się autora.

„Pisistrate Caxton" ma być dziełem twórcy „Pelham'a?" To niepodobna! wołano zewsząd. Lecz niezadługo odkrył autor nazwisko swoje, zadowolony pochwałami, na które nic zewnętrznie nie wpłynęło. W „Pisistrate Caxton" oddane są męzkie przymioty — które dotąd ujemną eleganckiego pisarza stanowiły stronę, bo niedostatek ich zupełny nie dozwolił mu wznieść się po nad humorystycznego opowiadacza. Już sam początek swoją oryginalnością zajmuje: „A boy! What is a boy?" Chłopiec! Czemżeż jest chłopiec? — odpowiada stary Caxton kobiécie, która przybiega z radością, by mu oznajmić o urodzeniu się syna. — „Chłopiec! A czemżeż jest chłopiec?" — I filozof niepoprawny, zapatrując się ze stanowiska filozofji na urodzenie się człowieka, wprowadza nas na punkt humour'u i ducha angielskiego. Od pierwszéj zaraz stronnicy czytelnik czuje się rzuconym w świetne towarzystwo Sterne'go i Goldsmith'a. A ileż tam naturalności, prostoty szlachetnéj; jakżeż tkliwym jest obraz téj zacnéj mieszczańskiéj rodziny, gdzie każda osobistość przedstawia nam obraz cnót właściwych, radości niewinnych, prawdopodobnych boleści: charaktery poetyczne, bo prawdziwe. Caxton'owie nie mają może téj rozdzierającéj patetyczności, jak kreacje Dickens'a, ale jest więcéj w nich praktycznéj nauki

życia. Anglja zobaczyła się tam jakoby w zwierciedle i przyklasnęła — a miała słuszność, bo ujrzała się w niém piękniejszą, szlachetniejszą i lepszą.

Obok Caxton'ów przedstawia się w ramach tegoż samego obrazu rodzina Fréwanion, wzór ambicji szlachetnéj. Robotnik Fréwanion — który wierzy, że praca i nauka są wszystkiém dla człowieka: że wiedzieć i módz jest tyle co posiadać, — chcąc Pisistrat'owi swoją okazać życzliwość, nie znajduje nic właściwszego jak złamać go pracą nadludzką. Typ taki jest stworzonym przez Bulweru — bo on jeden tylko mógł tchnąć prawdę w tę postać. Bożyszczem Fréwanion'a jest nauka sztuki rządzenia, znajomość administracji i rozum polityczny. Nadto szanuje on wysoce każdą wiadomość praktyczną. Jego najdrobniejsze czynności są ścisłą świadomością rządzone, wyrozumowane i naukowe. Fréwanion jest upostaciowaniem ducha angielskiego, który stworzył siłę i bogactwo Wielkiéj Brytanji — który dla niéj zdobył szacunek świata, ale nie potrafił sympatji pozyskać. — Bulwer, mąż prawdziwéj zdolności, wystrzega się, by stworzone przez siebie osoby filozofowały, lecz za nie czyny mówią — a postać każda jest myślą.

Ale i mimo ram rozszerzonych do idei filozoficznéj, Bulwer pozostaje sobą — bo młode jego postacie z jednakim zawsze zapałem dobijają się szczęścia — i w tém autor nie zmienia się nigdy. „Pisistrate Caxton" — zarówno jak starsi bracia jego — goni za majątkiem i honorami. Toż samo poeta Leonard i Lionel Hanghton. Tylko, że zamiast zdobywania celu zwycięzko, jakoby pół-bogowie — tamci zmierzają doń więcéj po ludzku, wśród trudów i przeciwieństw — i to właśnie wykazuje o ile talent jego dojrzał.

„My nowel" (Mój romans) ukazał się po Caxton'ach — a według sądu Anglików, jest on najwyższym szczytem genjuszu Bulwera. My na sąd ten niezupełnie się zgadzamy, bo tam znowu nieco Bulweryzmu widzimy, to jest: manierę ukwieconą, pieszczotliwą, pierwszéj młodości autora. Wyznać jednak musimy, że to jest znakomite dzieło i że przed poznaniem go nie wiedzieliśmy, że na świecie tyle wybornych istnieje typów, a mniéj jeszcze, że je bez konfuzji na jednéj scenie pomieścić można. Jakież to tam bogactwo i jaka rozmaitość! — Tam dzieci są wielkiemi jak mędrcy! A mędrcy pełnymi prostoty jak dzieci! — „Riccabocca", „Parson Dalle" to kreacje, które na długo pozostaną w pamięci ludzkiéj — czego właśnie dla wzorów w literaturze pragnąć należy. Intryga romansu „My nowel" jest jędrną, a osoby w nim występujące przywiązują do siebie. Sytuacje krytyczne wikłają się i utrzymują interes zwyczajnego czytelnika w zawieszeniu — gdy występujące w nim osoby szczególniéj uwagę myślących zajmują. Nic nie sprosta — jako prawda i wrażenie — kontrastowi pragnień i czynów tych ludzi poczciwych, którzy prawią jak Machiawel a postępują sobie jak św. Wincenty a Paulo. Jako romans i model w swoim rodzaju, „My nowel" jest dziełem skończoném, pod względem jednakże doskonałości opracowania nie potrafi stanąć na równi z zawartemi w niém bogactwami.

„What will he do with it? (Cóż on z tém pocznie?). Romans ten mniéj jest znanym, a długość tytułu odstręcza. Wart jednakże zawsze, by w drugiéj serji obyczajowych romansów zamieszczonym został. Może Bulwer mniemał, we w nim sam siebie prześcignie. Bo przeczuwa się, że w postaciach Guy Darnel i Harley d'Estrange autor chciał na wyższą zagrać nutę, lecz omylił się. Skala jego naturalna nie sięga tak wysoko. A tryumf jego prawdziwy stanowi odmalowanie mędrca z sercem wzniosłém, który sam siebie nie zna.

Nie stało wszelako jednéj struny na lirze tego czarodzieja wielkiego: Lytton Bulwer nie potrafił odmalować kobiét! Jak niejednemu portreciście, odmówionym mu był ten talent. Piękna Violanta, łagodna Helena, zjednać sobie mogą sympatję powierzchownego czytelnika — lecz to są figury do Keepsak'ów albo też Madonny w złoconych ramach. Lady Fréwanion warta więcéj, bo pomimo, że jest skończonym modelem damy światowéj — owa szlachetna Emilja, melancholiczna i pełna ambicji, staje się prawdziwym genjuszem Fréwanion'a. Ależ to tylko szkic lekkiego zarysu, figura drugiego planu. Kobiéta w całém znaczeniu tego wyrazu, istotna towarzyszka męża, w któréjby ten sam wrzał zapał, te same pragnienia, te same myśli, ta sama odwaga — nieznaną była Bulwerowi. Tak samo — wyznać potrzeba — jak mąż prawdziwy znanym nie jest większéj części romansistek niewieścich. Te płcie obiedwie na polu literackiém widzą się nawzajem niby tylko przez kratę klasztorną, albo też w zwrotkach poematu. Kobiéty malują bohaterów, których jest zadaniem wiele nabroić złego — a mężczyzni piękne niewiasty, które z rzemiosła swojego są zwodzicielkami. — Wielki malarz, któryby odmalował kobiétę rzeczywistą, praktyczną, z usposobieniem nieskrzywioném przez wpływy wsteczne — nie zjawił się pono jeszcze, — a Bulwer mniéj od drugich temu podołał zadaniu*). Mąż jednakże rzeczywisty, prosty, jakiego spotykamy codziennie, zamieszanego w tłumie; którego wielka czystość duszy i charakter szlachetny znane są tylko Bogu i kilku doń zbliżonym istotom; mąż rozumny, który żyje na uboczu właśnie dla tego, że jest rozumnym, — znalazł w Bulwerze swojego historyka i poetę; salonowiec napotkał w nim fotografa z bezstronnością okrutną, — a polityk ujrzał nędze własne, wystawione na światło dzienne.

Wielki romansista, którego Anglja utraciła, nie był Walter-Skotem, bo nie posiadał wysokiego liryzmu tamtego. Ani też Thackeray'em, bo nie był jak ten ostatni burzycielem systematycznym i zagniewanym na arystokrację narodową. A mniéj jeszcze Dickens'em, bo dalekim pozostał od gorzkiéj a bolesnéj satyry, która odznaczała tego wielkiego buntownika. Bulwer pozostał w sferze szczęśliwszéj, łagodniejszéj, a pewnie i w ciaśniejszym obrębie. Bulwer jest wybornym malarzem wyższego towarzystwa, cnót jego i występków. Uczony, filozof, artysta — wszyscy, którzy należą do klas wyższych, stanowią jego rodzinę. Spostrzegł on także gdzieś tam niekiedy oszusta, opryszka, pasożyta, ale przeszedł obok biedaka nie widząc go wcale; rzemieślnika nie zrozumiał, na chłopa nie zważał, a kobiéty nie poznał. O dwóch pierwszych nie mówił nigdy; chłopi jego, to jakby figury z opery komicznéj — a kobiéty jedynie królowemi salonów, którym sam z zadowoleniem pokłon oddaje.

Wielkie to zaprawdę szczerby w utworach pisarza dziewiętnastego wieku. A gdy policzymy jego zasługi publiczne, jako mówcy i deputowanego, jako sekretarza stanu i rektora uniwersytetu w Glasgowie; gdy pomnimy, że czarował dwie generacje utworami swojemi; że mężów zajmujących znaczące w społeczeństwie stanowisko zapoznał z samymi sobą; że wykrył jednę z żył złotych ludzkiego serca i nauczył wierzyć jeszcze w szczęście, w smutnym wieku dzisiejszym, — uznamy pewno, że lord Lytton, mimo znikomości tytułów swoich, zasłużył na to, by spoczął w Westminsterze pośród tych, którzy dług wielki spłacili ojczyznie.

*) Typ tego rodzaju kobiéty naszkicował, wedle naszego mniemania, rosyjski powieściopisarz Turgenjew w powieści, któréj przekład obecnie drukujemy. Czytelnik sam to wreszcie osądzi. (Przyp. Red).

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

— Cóż cię to dziwi? Jesteś widocznie skromnym młodzieńcem. A przecież ona cię kocha, możesz się w tém spuścić na mnie.

— Jakież niedorzeczności wygadujesz! rzekł wreszcie Bersenjew gniewnie.

— Bynajmniéj, to nie są niedorzeczności. Ale czemuż stoimy? Chodźmyż daléj. Idąc, lepiéj jakoś idzie rozmowa. — Ja znam ją dawno, a znam dobrze. Nie mogę się mylić. Podobałeś jéj się. Był czas, gdzie ja jéj się podobałem; ale po pierwsze jam dla niéj za lekkomyślnym, a ty, ty to co innego, tyś głowa zimna, rozważna, moralnie i fizycznie jesteś tak przyzwoitą, tak porządną osobistością, ty... poczekaj-no trochę, jeszczem wszystkiego nie wypowiedział... Ty jesteś tak sumienno-umiarkowanym entuzjastą, jesteś prawdziwym przedstawicielem owych kapłanów wiedzy, z których średnia szlachecka warstwa naszego społeczeństwa tak słusznie jest dumną! Po drugie zaś przydybała mnie niedawno jak Zoe całowałem po rękach.

— Zoe?

— Tak, Zoe. Cóż było zrobić? Jéj ramiona są tak piękne.

— Ramiona?

— No tak, ramiona, ręce, toć przecież wszystko jedno. Helena weszła niespodzianie i zastała mnie przy tém swobodném zajęciu, któremu oddawałem się po obiedzie, a przed obiadem występowałem przeciw Zoe. Helena nie może pojąć tego rodzaju sprzeczności. W dodatku ty jeszcze przybywasz... ty, z twemi wiarami w... tak, w co ty wierzysz właściwie? w cóż bo ty nie wierzysz!... Czerwienisz się zaraz, mięszasz, mówisz o Schillerze, o Szelingu (nagle przesadzasz ją w grunt wielkich, niezwykłych ludzi), a wtedy tyś zwycięzcą, a ja nieszczęśliwy staram się żartować... i... przytém...

Szubin wybuchnął nagle płaczem, oddalił się, usiadł na ziemi i obie ręce zanurzył we włosach.

Bersenjew zbliżył się do niego.

— Pawle, rozpoczął, cóż to za dziecińlater? Na miłość Boską! Co ci się dziś stało? Bóg wié co za niedorzeczność przyszła ci do głowy i płaczesz. Doprawdy, mnie się zdaje, że ty odgrywasz komedję.

Szubin podniósł głowę. W blasku księżyca błyszczały łzy spływające po jego twarzy, twarz ta przecież uśmiechała się.

— Andrzeju Piotrowiczu, mówił, możesz o mnie myśleć co ci się podoba. Ja sam gotów jestem przypuścić, że w téj chwili miałem napad histerji; ale przysięgam ci, żem zakochany w Helenie a ona kocha ciebie. Bądź co bądź obiecałem cię odprowadzić do domu, muszę dotrzymać mego przyrzeczenia.

Powstał.

— Cóż za noc! Jak srebrzysta, ciemna, jak dziewiczo świéża! Jakże rozkosznie dziś jest tym, co są kochani! Jakże im miło jest nie spać! Czy ty spać będziesz Andrzeju Piotrowiczu?

Bersenjew nic nie odpowiedział, przyspieszył tylko kroku.

— Gdzie się tak spieszysz? ciągnął Szubin. Wierz moim słowom, taka noc nie powtórzy się już nigdy w twojém życiu — a w domu czeka cię tylko Szelling. Prawda, że dziś niemałą oddał ci on przysługę; ależ to nie powód, aby tak biedz do niego. Śpiewaj, jeśli umiesz, śpiewaj jeszcze głośniéj, — jeśli nie umiesz... zdejm kapelusz, wznieś głowę dumnie, uśmiechaj się do gwiazd. One wszystkie patrzą na ciebie, na ciebie tylko, bo i cóż one mają innego do czynienia, te gwiazdy, jak przyglądać się zakochanym... dla tego téż są tak cudnie piękne. Boć przecież jesteś zakochanym, Andrzeju Piotrowiczu?... Nie odpowiadasz mi... Czemuż mi nie chcesz odpowiedzieć?... O, jeśli się czujesz szczęśliwym, to milcz, milcz! Ja, ja paplam, bo czuję jak mi się krtań ściska, ja nie jestem kochanym, ja jestem kuglarzem, artystą, komedjantem w nędznéj possie; ale jakiż cichy zachwyt czułbym w noc taką, jakież skarby byłyby we mnie gdybym wiedział, że jestem kochanym!... Bersenjewie, czyś ty szczęśliwy?

Bersenjew przecież milczał uparcie i szybko postępował równą drogą. W dali połyskały z po za drzew światła rozsiane we wsi, w któréj mieszkał; było w niéj w ogóle z dziesięć zaledwie domków. Na samym wioski początku, na prawo, nad drogą między dwoma bukami, o szerokich konarach stała budka kramarza; okna jéj były zamknięte i szczelnie przysłonione, tylko z otwartych drzwi padał szeroki pas światła na zdeptaną trawę i dolne drzew części, oświecając jaskrawém światłem spodnią białawą stronę liścia. Dziewczyna, jakaś pokojowa widocznie, stała w budzie odwrócona do drzwi plecami i targowała się z kramarzem; z pod czerwonéj chustki, którą narzuciła na głowę i przytrzymywała obnażoną po łokieć ręką, zaledwie widać było giętką jéj szyję i twarz świéżą. Młodzi ludzie weszli w smugę światła; Szubin spojrzał w wnętrze budy, stanął i zawołał: Annuszka! Dziewczyna odwróciła się szybko. Ukazała się przyjemna, zbyt może szeroka lecz świéża twarzyczka o wesołym, pogodnym ciemnych ócz wyrazie i brwiach gęstych, czarnych. Annuszka! zawołał Szubin ponownie. Dziewczyna spojrzała na niego badawczo, zlękła się, zmięszała... i nie kończąc już rozpoczętego targu zbiegła po schodkach, przemknęła się szybko i rzuciwszy zaledwie dostrzegalne ukośne spojrzenie, pobiegła drogą na lewo. Przekupień, opasły i na wszystko w świecie obojętny człowiek, jak zwykle wszyscy kramarze, wołał za nią zachwalając towar i zachęcając do kupna, Szubin zaś zwrócił się do Bersenjewa z temi słowy: Bo to... bo to, widzisz... mam tu znajomą rodzinę... u nich... tylko nie myśl czasem... i nie kończąc pobiegł za oddalającą się dziewczyną.

— Ależ otrzyj sobie łzy przynajmniéj, wołał za nim Bersenjew, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu. Skoro jednak doszedł do domu, twarz jego nie miała bynajmniéj wesołego wyrazu; już się nie śmiał. Ani na chwilę nie uwierzył słowom Szubina, a przecież głęboko zapadły one w jego duszę. A jednak... myślał, a jednak ona kogoś pokocha... Kogóż pokocha?

Bersenjew miał w swym pokoju fortepjan ani zbyt wielki, ani już nowy, ale dźwięk jego był miękki i przyjemny, choć niezupełnie czysty. Usiadł przed nim Andréj Piotrowicz i uderzył kilka akordów. Jak wszyscy rosyjscy synowie szlacheckich rodzin, uczył on się muzyki za młodu i grał téż, jak oni wszyscy, jak najgorzéj, ale namiętnie lubił muzykę. Ściśle rzecz biorąc, nie sztukę kochał w niéj, nie formy, które są jéj wyrazem tylko, (symfonje, sonaty, opery nawet nastrajały go do smutku), ale żywioł téjże: lubił te niepochwycone i przyjemne, te oderwane a wszystko w sobie obejmujące wrażenia, jakie przejścia tonów budzą w duszy. Godzinę przeszło siedział u fortepjanu, niejednokrotnie powtarzał téż samą melodję. Serce jego było smutne i nierzadko stawały mu łzy w oczach. Nie wstydził się ich: zapominał o nich w téj ciemności. Paweł ma słuszność, pomyślał, czuję to: dzisiejszy wieczór nigdy nie powróci. Wstał wreszcie, zapalił świecę, włożył na siebie szlafrok, zdjął

z pułki drugą część Raumera historji Hohenstauffów — westchnął kilkakrotnie i zagłębił się w swém czytaniu.

VI.

Podczas tego Helena weszła do swego pokoju; siadła w otwartém oknie i głowę wsparła na ręku. Zwyczajem jéj było co wieczór spędzać tak u okna swego pokoiku choć kwadrans. W takiéj chwili prowadziła z sobą samą rozmowę i zdawała sobie sprawę z dnia całego. Niedawno skończyła lat dwadzieścia. Wysokiego wzrostu, miała twarz bladą, z ciemnym jakimś, z po za bladości przebijającym odcieniem, z pod czarnych brwi łuków świeciły wielkie szare oczy. Czoło i nos miały doskonale prostą linję, usta nieco zaciśnięte. Ciemno kasztanowate warkocze spadały na szyję form posągowych. W całéj jéj postaci, w natężonym i trwożnym niemal wyrazie twarzy, w czystém ale zmieniającém się co chwila jéj spojrzeniu, zawsze jednakim, przymuszonym uśmiechu, w łagodnym a nierównym jéj głosie leżało coś nerwowego, coś, co cię elektryzowało mimowoli, coś gwałtownego, gorączkowego, słowem coś, co nie przemawiało za nią do każdego, co przeciwnie wielu nawet odstręczać mogło. Rękę miała blado-różową, wązką, z długiemi palcami, i nogę również wązką; chód jéj był pospieszny a idąc pochylała się nieco naprzód. Dziwny duchowy proces odbył się był w niéj; naprzód ubóstwiała ojca, potém namiętnie przywiązała się do matki, wreszcie dla obojga ostygła, zwłaszcza téż dla ojca. W ostatnich chwilach obchodziła się z matką jak z chorą; ale ojciec, który był z niéj dumny dopókąd ją za niezwykłe dziecko uważano, zaczął jéj się obawiać gdy wyrosła i począł ją nazywać exaltowaną dziewczyną, która Bóg wié w kogo się wdała! Wszelka słabość ją oburzała, gniewała głupota, kłamstwa nie przebaczała „do śmierci"; w żądaniach swych była nieugięta, do modlitw jéj nawet mięszały się czasem wyrzuty. Jeśli ktoś utracił jéj szacunek, — sąd jéj następował szybko, często aż nadto spiesznie, — wówczas przestawał już istnieć dla niéj. Wszelkie wrażenia ryły się głęboko w jéj duszy; życie stawało jéj się niełatwém zadaniem.

Nauczycielka, któréj Anna Wasilewna powierzyła ukończenie wychowania swéj córki, — wychowania, którego, mówiąc nawiasem, nigdy nawet nie rozpoczynała czułostkowa i słabowita kobiéta, — była Rosjanką, córką zubożałego poborcy podatków sądowych, nadzwyczaj wrażliwą, dobroduszną ale i kłamliwą zarazem wychowanicą rządowego instytutu; bezustannie w kimś się kochała i wreszcie w pięćdziesiątym roku swego życia (gdy Helena skończyła szesnasty) wyszła za jakiegoś oficera, który ją wkrótce zaraz porzucił. Nauczycielka owa niezmiernie była rozmiłowaną w literaturze i sama nawet pisała wiersze; ona to nadała Helenie zamiłowanie czytania; ale nie na samém czytaniu ograniczała się nasza bohaterka: od dzieciństwa czuła w sobie potrzebę działalności, użytecznéj działalności; ubodzy, zgłodniali, chorzy zajmowali ją, niepokoili i stawali się jéj plagą; we śnie nawet widywała tych nędzarzy, wywiadywała się o nich u wszystkich swych znajomych. Wszelkie prześladowane zwierzęta, wygłodniałe psy podwórzowe, kocięta na utopienie skazane, z gniazda wypadłe młode wróble, nawet owady i robaki znajdowały u Heleny opiekę i obronę; ona je sama żywiła i nigdy nie doznawała przytém wstrętu. Matka pozostawiała jéj wszelką wolność w téj mierze; za to ojciec bardzo był oburzony na swoją córkę za tę jéj niegodną czułość, jak to nazywał, i zaręczał, że kroku w domu nie można zrobić aby nie napotkać psa lub kota. Helenko, wołał często, chodź-no tu prędzéj, pająk wysysa krew musze, ratujże nieszczęśliwą! A Helenka biegła przestraszona, oswobodzała muchę i oczyszczała jéj nóżki. Pozwólże się ugryźć, kiedy masz tak czułe serce, ironicznie dodawał ojciec. Helena miała lat przeszło dziewięć, gdy zapoznała się z małą żebraczką Katją, z którą odtąd schodziła się potajemnie w ogrodzie. Przynosiła jéj łakocie, darowywała chustki, pieniądze... zabawek nie przyjmowała Katja... siadała wraz z nią w jakim kąciku na ziemi po za pokrzywami, jadła z radosną pokorą jéj chléb zczerniały i słuchała jéj opowiadań. Katja miała ciotkę, niegodziwą, starą kobiétę, która często ją bardzo biła; nienawidziła téż staréj i mówiła tylko o tém, jakby od niéj chciała uciec i żyć „w szerokim, wolnym świecie Bożym"; z tajemną czcią, szacunkiem i trwogą słuchała Helena téj obcéj sobie, niepojętéj mowy Katji, nie spuszczając z niéj oka. Wszystko w niéj — czarne, błędne, zwierzęce prawie oczy, opalone od słońca ręce, bezdźwięczny głos a nawet podarte ubranie — wszystko to wydawało się Helenie niezwykłém, świętém prawie. A choć już powróciła do domu, długo jeszcze zazwyczaj myślała o żebraczce, o szerokim, wolnym Bożym świecie; marzyła o tém, jak wytnie sobie kij z leszczyny, przewiesi tłomoczek przez plecy, razem z Katją ucieknie i jak w wieńcach z bławatków przebiegać będą drogi; — raz widziała Katję w takim wieńcu. Jeśli ktoś z jéj rodziny wchodził w takich chwilach do pokoju, stawała się ponurą i trwożnie poglądała w około. Raz w deszcz pobiegła do Katji i poplamiła sobie suknię; ojciec spostrzegł to i nazwał ją nieporządną wiejską dziewką. Porwała się nagle... i w sercu jéj jakieś straszliwe a rozkoszne zatlało uczucie. Katja często bardzo nóciła dziką jakąś żołnierską piosenkę; Helena nauczyła się od niéj téj pieśni... Anna Wasilewna podsłuchała ją i rozgniewała się o to.

— Gdzież się nauczyłaś takich obrzydliwości? spytała córkę.

Helena spojrzała tylko na matkę i nic nie odpowiedziała; czuła, że prędzéj dałaby się porwać w kawałki, niżby miała zdradzić swoją tajemnicę i ponownie poczuła w sercu coś strasznego ale i przyjemnego zarazem. Ale znajomość ta z Katją niedługo trwała; biedna dziewczyna zachorowała na jakąś gorączkę i umarła w dni kilka.

Kiedy się Helena dowiedziała o śmierci Katji, długo była smutną i po nocach nie mogła sypiać. Ostatnia rozmowa z Katją brzmiała w jéj uszach bezprzestannie i czasami zdawało jéj się nawet, że ją ktoś woła.

Tymczasem lata przechodziły szybko a niepostrzeżenie. Jak woda pod lodową szybą przepływały chwile młodości Heleny, zewnątrz bezczynnie, wewnątrz jednak wrzała burza i walka. Żadnych towarzyszek nie miała; z pośród młodych panienek, które bywały w domu Stachowów, z żadną się zaprzyjaźnić nie mogła. Rodzicielska władza nigdy nie zaciężyła Helenie, ale od szesnastego roku życia stała się całkowicie niezależną i prowadziła właściwe sobie, samotne życie. W samotności gorzała i ziębła jéj dusza, jak ptak biła skrzydłami o klatkę, a klatki przecież nie było; nikt jéj najmniejszego nie narzucał przymusu, nikt nie stał jéj na drodze a mimo to chciała się oswobodzić i upadała pod zmęczeniem. Czasami nie rozumiała się sama, bała się nawet saméj siebie. Wszystko, co ją otaczało raz ją nudziło, to znów zdało się niepojętém. Czemże jest życie bez miłości? a jednak nie ma nikogo, kogoby ukochać można! myślała, i przelękła się téj myśli, tych wrażeń. W ośmnastym roku omal nie umarła na zaraźliwą jakąś gorączkę; organizm jéj silny z natury, wstrząśnięty do głębi, długo nie mógł przyjść do siebie, nakoniec znikły wszelkie ślady choroby, jednak ojciec Heleny Mikołajewny mówił zawsze jeszcze, i to nie bez rozdraźnienia, o jéj nerwach. — Czasem zdawało jéj się, że ma jakieś pragnienia czegoś, czego w Rosji nikt nie pragnie, o czém nikt w ogóle nie myśli. Potém znów stawała się spokojną, śmiała się nawet sama z siebie, żyła z dnia na dzień bez troski, nim znów coś gwałtownego, nieokreślo-

nego, nad czém zapanować nie umiała, nie poczęło w niéj wrzeć i gwałtem domagać się uzewnętrznienia. Burza przeciągała, skrzydła, które się wznieść nie mogły, opadały znużone; ale takie wzruszenia nie pozostawały bez śladów. Jakkolwiek starała się, aby tego co się w niéj działo nikt nie dostrzegł, to przecież chwilami widoczną była męczarnia wzburzonego ducha w pozornym jéj spokoju i jéj krewni często mieli wszelkie prawo wzruszania ramionami, dziwienia się i uważania jéj dziwaczności za coś niepojętego.

Dnia tego, w którym rozpoczynamy nasze opowiadanie, Helena dłużéj niż zwykle siedziała przy oknie. Myślała dużo o Rersenjewie i o rozmowie z nim. Podobał jéj się; wierzyła w ciepło jego uczuć, w czystość jego zamiarów. Nigdy jeszcze tak z nią nie rozmawiał jak tego wieczora. Przypominała sobie skromny wyraz jego oczu, jego uśmiechu... i uśmiechała się sama i zapadała w zadumę, ale już nie on był tych dumań przedmiotem. Przez otwarte okno poglądała długo w ciemność nocy, w niebo, potém powstała, ruchem głowy odrzuciła włosy z twarzy i wyciągnęła ku niemu, ku temu niebu obnażone, chłodne ramiona; potém pozwoliła im opaść bezwładnie, padła na kolana przed łóżkiem, ukryła twarz w poduszkach i mimo wszelkich wysileń stłumienia w sobie tych uczuć, co ją opanowywały, strumień łez gorących choć nie spowodowanych niczém ale pełnych przeczuć, spłynął z jéj oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jeszcze o Konarskim szczegóły.

Nastał czas rozpamiętywania. Badamy przeszłość, zbieramy fakta dziejów porozbiorowych, obdzielamy się wspomnieniami .. toż stają przed nowém pokoleniem wyrazistsze postacie walki naszéj o prawa narodu i samoistny byt.

Ileż to my mamy takich postaci!

Bez zaprzeczenia do rzędu pierwszych należy Szymon Konarski. Zbadać koleje jego działalności na Litwie i Rusi, przejrzeć się w założeniach, poznać ich rozwój jak i przyczyny upadku — to tyle, co mieć zakończone wyobrażenie o żywiołach najczynniejszych tych dzielnic naszego kraju, ich ruchu, biegu wypadków, poczynając od r. 1833 do ostatniego powstania. Wszystko, co w tym okresie zaszło, było dalszym jedynie ciągiem, rozsnuwaniem tego samego wątku. od Konarskiego wzięło początek. Charakterystyka ludzi, myśli przewodnie, ich krzewienie i plany — wciąż jedno.

Czy Bóg pozwoli zebrać kiedy szczegóły téj doby, trudno przewidzieć, — przypuszczam wszakże, że się wyjawią z czasem wspomnienia pisane. Zbierać je teraz, dla ludzi niewtajemniczonych w te dzieje, nie zagarniętych niemi, mozoł to za wielki i prawie już niepodobna, boby szeroko wypadło obiegać Litwę i Ruś, a potém, osobistości działające zeszły z widowni życia lub w rozproszeniu dobijają swéj mety. Zostały po nich w kraju rodziny, ale słowne podania, jakkolwiek bogaty materjał dać mogą, będą to wszakże fakta pojedyncze, rozosobnione — ogólne tło wypełnione nie będzie. Liczę, że ten lub ów z współdziałaczy ś. p. Szymona zostawił albo zostawi po sobie coś zebranego treściwie. Do sprawozdania z takiego okresu każdy poczuwać się powinien. Znam pewnego staruszka, którego życie całe jest ściśle z Konarskim związane. Dzielił on jego widoki, krzątał się czynnie, stawał z nim razem przed kniaziem Trubeckim i był karmiony niewymoczonym śledziem, bez kropli wody po całych tygodniach. Wtedy milczał jak głaz, a kiedy usta otworzył, to żeby gnębicielom swoim wypowiedzieć swą wiarę, za którą następnie odbył 25-letnią pokutę w kopalniach. Dziś należałoby pomyśleć o sprawozdaniu. Przypuszczam, że p. G. Br... zostawi opis téj doby, zakończonéj krwawym dramatem.

Przeczytałem w „Tygodniku Wielkopolskim" (Nr. 43 do 49 z r. 1872) notatki p. Sobarri — i te mojemi wiadomościami dopełnić pragnę.

Młodość moją rozpocząłem od otarcia się w Wilnie o urzędniczy świat. Było to w owym czasie, kiedy wywożono związkowych z r. 1846 a w Wilnie nowy związek urastał. Służbowe stosunki dały mi poznać radcę rządu gubernjalnego Wędziagolskiego (przedtém sprawnika), który za ujęcie Konarskiego na szyję krzyż dostał. Dwa lata przedtém w powiecie Dziśnieńskim poznałem wspólnika jego, Milewskiego, wyniesionego na urząd asesora (komisarz cyrkułowy) za ten sam czyn, wysoko cenionéj w świecie urzędowym zasługi. Milewski urzędował w miasteczku Drui nad Dźwiną. Od nich obu mam szczegóły, które aresztowania Konarskiego dotyczą.

Jeden i drugi wiele razy tak to opowiadali:

Żyd Rozental, który czas jakiś pełnił już obowiązki szpiega, podsłuchał przez przepierzenie rozmowę jakiegoś młodego człowieka z zegarmistrzem Duchnowskim, którzy do niego na miód wstąpili. Rozmowa była prowadzona więcéj po cichu, lecz z kilku słów głośniéj wypowiedzianych żyd wywnioskował, że o polityce mówią. W owym czasie dość było tego, żeby pójść do więzienia, a za wydanie gotowemi rublami płacono. Konarski wtedy już był szukany w kraju i policja tajna wpadła w Wilnie na tropy spiskiem pachnące. Kilku już było aresztowanych. Rozental zatém, fundując się na podsłuchanych pojedynczych wyrazach, biegł do tajnego biura, kiedy po drodze oficer żandarmerji mu się nawinął. Temu tedy powiedział o dwóch gościach swoich i o tém, co zaleciało do jego ucha. Żandarm do handlu wszedł. W téj chwili młody człowiek podniósł się z za stołu i biorąc żandarma za rękę, powiedział: „proszę za mną na chwilę — mam do pana interes." Duchnowski został — ci wyszli. W sieni oficer od nieznajomego usłyszał te słowa: „Darujesz pan, ale się nie spodziewałem, żebyś mógł mi przeszkadzać. Jak można wchodzić — i jeszcze w tym mundurze!" Było to zagadnienie wcale niezwyczajne dla p. żandarma, które mu pomięszało szyki, wprawiło w osłupienie i uczyniło powolnym. Trzeba wiedzieć bowiem, że organizacja policji tajnéj w owym czasie szła od dwóch źródeł i koledzy jednego fachu często siebie nie znali. Jedni bezpośrednio obsługiwali kniazia Dołhorukiego, jako naczelnika kraju, drudzy żandarmskie gniazdo, a inni znowu (podrzędni) kręcili się przy policmajstrze. Ta segregacja zresztą leżała i leży w naturze rosyjskiego systemu. Nieznajomy mówił w sieni daléj do oficera: „Ten stary kiep (Duchnowski) do niczego nie należy i nie wié nic, alem się trochę od kogo innego dowiedział. Jest tam ptaszek na Wilejskiéj ulicy... zdaje się, że to Konarski." Żandarm otworzył usta. — „Nie gap się pan — ciągnął nieznajomy — a chodź. Ja w służbie jestem od paru tygodni... potrzebuję pomocy." Poszli na Wilejską ulicę. Duchnowski został u Rozentala, wyszedł ztąd niezaczepiony i w parę godzin potém aresztowano go w domu. Ta okoliczność stwierdza, że szczegóły pierwszego dla policji śladu Konarskiego w Wilnie, Milewski prawdziwie mi opowiedział. Wiem to z jego ust własnych, a Milewski poetyzować nie umiał — w opo-

wiadaniu był zwięzły. To samo i Wędziagolski powtarzał.

Na Wilejskiéj ulicy żandarm i nieznajomy stanęli w bramie jednego domu.

— Chwilkę niech się pan tu zatrzyma — powiedział ostatni, — dowiem się czy ptaszek jest... tym mundurem możemy spłoszyć. Ja surdutowy, łatwiéj się wszędzie wśrubuję i wypatrzę co trzeba.

Żandarm został w bramie — nieznajomy poszedł na górę. Czeka kwadrans, godzinę, kolega nie wraca. Dom, do którego wszedł, był domem przechodnim, o czém oficer nie wiedział. Widząc, że się dał wyprowadzić w pole, wpadł w dorożkę, doleciał do swéj komendy — zaalarmował... wszystkie czynniejsze nosy wprawiono w ruch. Nie ulegało wątpliwości, że Konarski jest w mieście i że to on własną swoją osobą wymknął się z rąk oficera. Ta okoliczność spowodowała, że prowadząc czynne poszukiwania w mieście, jednocześnie na wszystkie trakty co sprytniejszych łapaczy wysłano. Stacja Krzyżówka, na mińskim trakcie, została na posterunek dla sprawnika Wędziagolskiego wskazana. Ten do pomocy wziął dwóch żandarmów i Milewskiego, który był na wsi policyjnym dozorcą, lecz mieszkał na jedném z przedmieść wileńskich, a już się kilka razy odznaczył węchem, zręcznością i przenikliwém okiem.

Wędziagolski na stacji był od południa, rozmawiał z pocztowym pisarzem i przez okno na trakt wyglądał, — żandarmi stali wewnątrz pocztowéj izby... sam tylko Milewski siedział na ławce w ganku.

Od strony Wilna pod wieczór ukazał się na trakcie kryty powóz w cztery żydowskie konie. Żyd biczem machał i pędził w kłus po piaskach głębokich, które dla prędkiéj jazdy były naturalną przeszkodą.

Wprawny do kombinacji sługa policyjny nie spuszczał z oka powozu, siedząc na ławce i nie ruszając się z miejsca.

— Konie pod pianą, a on tak pędzi, a piasek prawie do osi, — opowiadał w r. 1846 Milewski, — więc dobrze zapłacony... a więc pilno temu, kto najął.

Druga okoliczność ta była, że obok żyda furmana na koźle, siedział chłop prosty, w siwéj sukmanie.

Powóz się zbliżał, chłop z kozła zwinnym ruchem obrócił się do środka powozu i przegiął... pan, pochylony naprzód z swego siedzenia coś mówił do niego.

— Za zwinny na chłopa, pomyślałem sobie — ciągnął daléj opowiadanie Milewski. To zwróciło moją uwagę już wprost na tę siwą sukmanę. Powóz do stacji skierował i stanął przy ganku... ja, nie ruszając się z miejsca, udawałem obojętnego. Miałem na sobie zwyczajną kapotę, dobrze wytartą i na łokciach w dodatku dziurawą. Z powozu wysiadł pan jakiś, człowiek niemłody i wchodząc na ganek, zapytał:

— Są konie?

— Nie wiem, wielmożny panie — odpowiedziałem, wstając i zdejmując czapkę, — ja nie tutejszy. Pan wszedł do izby pocztowéj, ja na ławce usiadłem znowu. Żyd furman i chłop zleźli z kozła i przy powozie stali, rozmawiając po rusińsku ze sobą. Chłop djalektem pinczuckim zacinał. Od słowa do słowa, wciągnąłem się i ja w rozmowę. Żyd powiedział, że konie z Wilna tylko do Krzyżówki najęte, a kiedy zapytałem nawiasem, czemu podróżny z miejsca nie wziął pocztowych, chłop odpowiedział, że na stacji w Wilnie nie ma ani jednego konia. Rzeczywiście nasi, rozbiegając się na wszystkie trakty, żeby jednocześnie czatować wszędzie na Konarskiego, nietylko konie pocztowe co do jednego zabrali, ale wypadło jeszcze od furmanów najmować, albo wprost machać dorożką, porwaną na ulicy, z placu, gdzie która była. Liczono na to, że jeżeli ptaszek nie da się w mieście przyłapać, to niezawodnie przy rejwachu poszukiwania na ten lub ów trakt z miasta wyskoczy. Rozmawiałem tedy z żydem i chłopem, a zawsze zwracając uwagę na to, że ostatni za zwinny na chłopa.

— To wy, jak widzę, z daleka jesteście? zapytałem go wreszcie.

— Z Polisia — odpowiedział chłop, na chwilę nie rozstając się z pinczuckim narzeczem.

— A ty co za jeden?... lokaj, furman... co?

— Mużyk (chłop) pana Rodewicza.. pynczuk.

„Odpowiadał krótko i węzłowato. Porównałem rysopis, który dobrze miałem zanotowany w pamięci (Milewski pisać wtedy jeszcze nie umiał), — tknęło mię coś, że to przebrany Konarski, a to tém więcéj, że wieźć do Wilna i z Wilna aż na Polesie nie lokaja do posługi w podróży ale prostego chłopa, było uderzającą zagadką. Nie ważyłem się jednak aresztować „Pynczuka“, bo kiedy pan jego otworzył drzwi do izby pocztowéj, usłyszałem głos Wędziagolskiego: „Jak się masz!... a ty tutaj co robisz!“ — „Jadę do domu i potrzebuję koni“ — odpowiedział podróżny. Potém słyszałem całusy... potém w izbie ciągnęła się rozmowa.

„Znajomy ze sprawnikiem, pomyślałem sobie — mówił Milewski — więc się nie poważałem na swoją rękę aresztować chłopa. Wypadało wpierw się podzielić uwagami z p. sprawnikiem. Wszedłem do izby — żandarmi stoją przy drzwiach, Wędziagolski śmieje się, jest zajęty z podróżnym jakąś wesołą rozmową i obadwa palą cygara. Podróżny położył podorożnę (list otwarty na konie pocztowe) i czterech koni żądał do powozu od pocztowego pisarza. Pisarz się wzdraga, powiada, że sześć tylko w domu ma koni, a p. sprawnik najmniéj pięć dla siebie i służby potrzebować będzie; ale Wędziagolski pozwolił dać cztery, mówiąc, że na stacji może mu nocować wypadnie. Widzę, że z podróżnym są dobrze znajomi i byłem w kłopocie, jak tu o tego chłopa potrącić. Drzwi do drugiéj stancyjki były otwarte, wszedłem więc tam i drzwiami od podróżnego zakryty, kiwnąłem ręką na p. sprawnika, któremu zaraz spostrzeżenia moje opowiedziałem. — „Bredzisz — była odpowiedź, — ja znam p. Rodziewicza.. wierny tronowi.“ — „Ależ, panie, ich nie podobna puścić, — ja prawie przysiądz mogę, że to Konarski.“ Sprawnik wyszedł do pierwszéj izby, rozmawiał z podróżnym i nieznacznie rzucił okiem przez okno. Konie już do powozu wyprowadzono — mieli przeprzęgać. Ja wyszedłem na ganek, sprawnik szepnął coś żandarmowi. Ten zaledwie pokazał się na ganku, chłop zbladł, lecz miny nie tracił i pomagał wyprzągać spędzone żydowskie szkapy. Zbliżyliśmy się obadwa z żandarmem do niego i kazali iść do pocztowego domu, asystując mu po obu stronach. — „Co to za człowiek?“ zapytał Wędziagolski, obrócony do Rodziewicza. — „To mój poddany z Pińszczyzny“ — odpowiedział Rodziewicz. Jeden ani drugi nie zmięszali się wcale... chłop na rozkaz pana pokazał paszport. Sprawnik przejrzał — dobry! Dziwiłem się, że mój zwierzchnik taki niezręczny, bo najprzód paszport był czysty i nie pogięty, więc nie chłopskie koło niego chodziły ręce i nie chłopska kieszeń chowała, a potém, jabym zaraz podróżnego z góry a ostro zagadnął, kiedy mniemanego chłopa wprowadzano do izby: „Zkąd pan Konarskiego zabrałeś?“ Komedja ta w jednéj chwili byłaby skończona, bo choćby mi prawdy nie powiedział podróżny od razu, wyczytałbym to z jego oczu. Oczy, w takim razie, to grunt. Zamiast tak zrobić, sprawnik wpatrywał się w chłopa, wyraźnie sprawdzał rysopis, a Rodziewicz płacił pisarzowi pieniądze za cztery konie. — „Głupstwo!“ powiedział Wędziagolski, polegając na dawnéj z Rodziewiczem swéj znajomości. — „Ależ, wielmożny panie! — umyślnie mówiłem w głos przy żandarmach — ja gotów jestem przysiądz, że on.“ Byłem pewny swego, a widziałem, że ptaszek umknie. Kilka minut decydowało — konie prawie już były gotowe. Wypadało w ten sposób zahaczyć p. sprawnika. — No,

to weźże sobie jednego żandarma i ruszaj do Wilna z nim.“ Chłop stał nieporuszony, Rodziewicz brał od pisarza resztę monetą zdawkową — ja pobiegłem do stajni, żeby co prędzéj założyli konie do kałamażki (rodzaj bryczki), kiedy wróciłem, a kałamażka stała przed gankiem, Rodziewicz wyrzucał sprawnikowi, że mu tylko opóźni drogę, że chłop jego nie złodziéj, najlepszego prowadzenia i w niczém nie podejrzany, — wreszcie powoływał się na paszport. — „Słuchaj, Milewski — powiedział sprawnik — ruszaj, a wracaj co rychléj, bo i tak może niepotrzebnie ambarasujemy p. Rodziewicza.“ Wyszedłem z chłopem i żandarmem przed stację — żandarm siadł z furmanem na przodzie, ja w siedzeniu po prawéj stronie a chłop po lewéj... kałamażka ruszyła z kopyta, a ciemnieć już poczynało.“

W tém miejscu, do opowiadania Milewskiego, dodać muszę strukturę kałamażki pocztowéj. Wasąg szeroki u góry, wązki u dołu, a porządki jazdy pocztowéj na Litwie są takie, że się siedzenie nie przewiązuje, rzuca się tylko w środek słoma, także w pęk niezwiązana, nastroszona i wystająca nad brzegi. Tak siada podróżny i trzęsąc się po wybojach drogi pocztowéj, wciska siedzenie ustępującéj słomy aż do samego dna.

„Kiedyśmy byli o dobrą milę już od Krzyżówki i noc zapadła — opowiadał Milewski daléj — a siedzenie usuwało się pod nami i zapadaliśmy w głąb’ kałamażki obadwa, chłop prawą ręką próbował sięgnąć do kieszeni. Przeczuwałem w tym ruchu coś niedobrego, więc naciskałem go całą siłą, żeby ręki do kieszeni nie mógł zagłębić. Było tego kilka razy i zawsze z tym samym skutkiem. Wjechaliśmy do miasta już dobrze po dziesiątéj. Żandarm furmanem kierował... kałamażka wleciała na dziedziniec dworcowy (rezydencja kniazia Dołhorukowa) i stanęła przed głównym gankiem. Dworzec był oświetlony — adjutanci, żandarmi, jenerałowie, pełno tego było i w przedsionku i na pokojach u kniazia, a wszyscy na raporta z traktów wyprowadzających z Wilna czekali. Ja pierwszy byłem. Na odgłos dzwonka i turkot przed gankiem dwóch prostych żandarmów, oficer dyżurny i jeden z adjutantów wypadli.

— Mam Konarskiego! — zawołałem już bez namysłu.

— No, przecież!... jak się masz, p t a s z k u! — krzyczeli śmiejąc się adjutant z dyżurnym.

Żandarmi wyciągnęli chłopa z kałamażki, wprowadzili do przedsionka... zjawił się zaraz sam kniaź Dołhoruki, a z nim jenerałowie, pułkownicy — moc tego. Wszyscy byli weseli. Zaczęło się od rewizji w kieszeniach i z prawéj, ze spodni, wyciągnięto nóż składany w kształcie puginała, a wyostrzony jak brzytwa. Aż mnie mrowie przeszło po ciele! Szczęście, że się domyśliłem i przyciskając się mocniéj do mniemanego chłopa, nie dałem mu ręki do kieszeni włożyć. Byłoby po mnie. Rozebrali potém przywiezionego... pod chłopską siermięgą była cienka holenderska bielizna. Papierów żadnych, oprócz jednego paszportu. Przyznał się zaraz, że jest Konarskim. Posłano w téj chwili inną bryczką żandarma do Krzyżówki — nadedniem i Wędziagolski z Rodziewiczem nadciągnął. Mnie kniaź dał zaraz sto rubli.“

Jest to opowiadanie Miłewskiego. Z tém się zgadza to, co potém kilka razy z ust Wędziagolskiego słyszeć miałem sposobność, z tą tylko zmianą, że Wędziagolski, nie zaprzeczając sprytu Milewskiemu, drogą urzędową chlubę (!!) ujęcia Konarskiego przypisywał sobie, ale prywatnie jéj się zapierał, zwalając wszystko na Milewskiego. Obadwa równi!

Milewski, wynagrodzony posadą asesora (stanowoj prystaw), na ujęciu Konarskiego tak się zaprawił, że potém cała usilność jego na łapanie p o d e j r z a n y c h była zwrócona — w każdym nieledwie przypuszczał emisarjusza. Raz w Drui byłem świadkiem téj gorliwości, na któréj wszakże mocno się zawiódł, a ja o mało nie trafiłem do kozy, ciągnąc za sobą innych. Obadwa w ujętym młodym i eleganckim człowieku przypuszczaliśmy emisarjusza — on go okuł w kajdany, ja podjąłem całą usilność, żeby uwolnić. Zawiedliśmy się obadwa, okoliczność ta jednak dała mi poznać całą obrzydliwość charakteru Milewskiego. Potém może opowiem to kiedy.

Przeznaczając powyższy opis do druku, jestem zmuszony przeprosić p. Sobarri, iż podaję szczegóły niezupełnie zgodne z jego wspomnieniem. Nie idzie mi o podjęcie polemiki z nim, bo w faktach téj doniosłości nie może być miejsca na nią. Prostuję tylko, co on ze słyszenia może z dziesiątych ust podał. Ja w ośm lat po wypadku zdarzenie całe miałem opowiedziane przez głównych sprawców długich boleści naszego kraju.

Co do innych szczegółów z życia ś. p. Szymona, może mi się uda je zebrać od bliższéj familji jego, z którą przez żonę jestem spowinowacony. Tu niech mi wolno będzie to zanotować jeszcze, że ś. p. Szymon nie w r. 1835, jak p. Sobarri podaje, pierwszy raz przybył w charakterze emisarjusza na Litwę. Owszém, był on tu już w r. 1833. Nie powiodło się — wrócił, lecz się spotkawszy ze swoimi w Brukselli, powiedział: „Nie spełniłem obowiązku, więc jadę na Litwę.“ Wiem o tém od pułkownika Ludwika Oborskiego, z którym w latach 1851—1855 byłem w bliższym stosunku, a który się z Konarskim przyjaźnił i w Brukselli z nim się widział przed drugą na Litwę wyprawą. Z tém się zgadza i to, co mogłem zaczerpnąć z akt Towarzystwa Demokratycznego, od jego centralizacji w Londynie.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Wydawca nasz pułkownik **Edmund Callier** otwiera z dniem 1go października b. r. księgarnię, antykwarnię i skład nut muzycznych w domu przy ulicy Wilhelmowswiéj Nr. 18. Prenumeratorowie „Tygodnika“ stali i nowo przystępujący korzystać mogą przy kupnie książek i nut ze znacznych ustępstw, jakie dla nich specjalnie robić się będą.

* * *

— Przypominamy przedpłacicielom, którzy u nas zapisali się na dzieło **Darwina**, iż wyszedł zeszyt 2gi. Po nadesłaniu 20 sgr. zeszyt ten natychmiast wysłanym zostanie.

— Pisma rosyjskie zajmują się teraz często literaturą polską a stały przegląd postępu téj literatury zamieszcza co miesiąc najpoważniejsze wydawnictwo perjodyczne petersburskie, bo „Wiestnik Europy.“ W zeszycie za miesiąc lipiec spotykamy ładne tłomaczenie F i l i p a z K o n o p i Syrokomli i kronikę rozwoju literackiego i naukowego w Warszawie. Autor artykułu przebiega wszystkie rodzaje, zatrzymując się przydłużéj na literaturze dramatycznéj nowoczesnéj polskiéj. Jako reprezentantów tego rodzaju, o wybitnéj indywidualności, stawia najwyżéj N a r z y m s k i e g o, S a r n e c k i e g o (dyrektora sceny poznańskiéj) i B a ł u c k i e g o, a chociaż uważa tendencję tych młodych pisarzy za zaco-

faną i nierozerwalnie jeszcze związaną z przeszłością, przyznaje im talent, oryginalność, znajomość serca ludzkiego i władanie formą. Z pism Narzymskiego najwyżéj stawia „Epidemję", z Sarneckiego „Bezinteresownych", z Bałuckiego „Radcy pana Radcy." Z wielkiém uprzedzeniem i widoczną tendencyjną niechęcią krytykuje Alex. hr. Fredrę (syna), nie przyznając mu nawet zalet humoru, który dla Polaków, rozumiejących doskonale wszystkie odcienie swojskiego dowcipu, jest tak miłym i robi go najpopularniejszym polskim pisarzem dramatycznym.

* * *

— **Pojedyncza i podwójna rachunkowość kupiecka**' podręcznik dla wykładów i praktycznego użycia, opracowany przez J. Toeplitza (Poznań, nakładem Ludwika Türka. 1873). Potrzeba dobrego przewodnika dla nauczania kupieckiéj rachunkowości od dawna czuć się dała. Młodzież ucząca się handlu i buchhalterji nie miała książeczki, z któréjby zaczerpnąć była mogła objaśnień wykładów, a obszerne niemieckie dzieła, dobre dla ukończonego buchhaltera, początkującego częstokroć obarczają masą wyrazów, nieużywanych już wcale, a zatém przestarzałych. Dla tego to witamy dziełko pana Toeplitza, zawierające wiele rzeczy nie znajdujących się jeszcze w pierwszém wydaniu niemieckiém, a tłomaczone przez człowieka kompetentnego, jako nabytek zupełnie na czasie będący; ono na długo pozostanie najgruntowniejszą i najbardziéj pouczającą z wszystkich dotąd istniejących książeczką tego rodzaju i sumiennie ją zalecić możemy nietylko początkującéj młodzieży, ale wszystkim mającym handlowe interesa na mniejszą lub większą skalę, przy których, jak wiadomo, podług kodeksu handlowego wymaga się prowadzenia książek rachunkowych, choć ten kodeks nie przepisuje systemu, podług którego one prowadzić się mają. Wspomnieć tu jeszcze winniśmy, że autor nie zapomniał dodać niektóre wyroki Najwyższego Trybunału, tyczące się prowadzenia książek, a służące za wskazówki w kwestjach wątpliwych. Nomenklatura kupiecka w książce p. Toeplitza jest powszechnie u nas przyjęta.

* * *

— Nakładem Mirosława Suchockiego wyszło w Krakowie piąte wydanie, przerobione i pomnożone „Związłéj gramatyki polskiéj", ułożonéj przez **Henryka Sucheckiego** do użytku w szkołach.

— **Ludwik** hr. **Dębicki** wydał we Lwowie nakładem X. E. Podolskiego życiorys X. biskupa Łętowskiego „według pamiętników pozostałych po nim w rękopisie."

* * *

— W osobnéj odbitce z „Rivista Europea" wyszła rozprawa p. n. „Ukraino. Il movimento letterario Ruteno in Russia e Gallizia" (1798—1872).

* * *

— **Bibljoteki dla młodzieży**, wychodzącéj w Krakowie pod redakcją Konstantego Wojciechowskiego, wyszedł zeszyt VIII na sierpień r. b. i zawiera: Wierny murzyn, powiastka. — Powrót bocianów, wierszyk. — Cuda w życiu ludzkiém, opowiadanie. — Bocian i dzieci wiejskie, wierszyk. — Milon, zacny starzec, sielanka. — Dla chcącego nie ma nic trudnego, wierszyk. — Żółw olbrzym, opowiadanie. — Drobne pyłki, wierszyk. — Rozmaitości.

* * *

— Pan Bliziński, autor komedji „Marcowy kawaler", grywanéj z takiém powodzeniem na scenie warszawskiéj, napisał nową komedję **Przezorna mama**, która wkrótce przedstawioną będzie w tymże teatrze.

* * *

— **Wisła**, książka pamiątkowa dla zacnego redaktora „Gwiazdki Cieszyńskiéj" p. Stalmacha, już wyszła z druku.

* * *

— Dr. **H. Zeissberg**, zajmujący się pilnie historją polską (znana mianowicie jego rozprawa o „Kadłubku", wydana przed parą laty), ogłosił obecnie w Wiedniu (u Gerold's Sohn) starą kronikę p. n. „Johannis de Komorowo tractatus cronice fratrum minorum observancie." Błędy ortograficzne w łacinie są, jak wiadomo, w kronikach średniowiecznych nader pospolite, to téż i w tytule powyższym ich nie brak.

* * *

— **Karol Grabowski**, dyrektor nadworny teatru i zarazem techniczny kierownik sceny w Meiningen, obchodził 50-letni jubileusz swéj służby. Przy téj uroczystości otrzymał od wielkiego księcia Jerzego tytuł radzcy Intendentury teatru, oraz ze wszech stron owacje dla okazania weteranowi sztuki czci, na jaką sobie umiał zasłużyć. Jest to jeden z naszych ziomków, którzy prędzéj znaleźli chléb i uznanie u obcych, niż między swojemi.

Nadesłany dodatek
do
Bibljografji dotyczącéj Tad. Kościuszki.

1. **Grosse, Dr. Ernst.** Kościuszko's Zuruf an seine Landsleute (wierszem). Lindau, 1831.
2. **Hnndt-Radowsky, Hartwig.** Polen in seiner tiefsten Erniedrigung oder Russlands frühere Politik in Hinsicht auf Polen. 1831. Stuttgart
3. **Jakubowski, Franciszek.** Poezje. Warsz. 1831. Z tego „Wiersz żałobny na zgon Tadeusza Kościuszki" przedrukowano w Jullien'a „Notice biogr." i w polskiém przerobieniu Falkensteina „Tad. Kośc." z r. 1827, wydaném r. 1827 w Wrocławiu u Korn'a. W oryginale Falkenstein'a jest natomiast: „Ode sur la mort de K. par Msr. Chaussard."
4. **Kniaziewicz**, jenerał. Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość? — wyd. przez Jana Nep. Leszczyńskiego Edycja druga poprawna z r. 1831. (Bez miejsca druku).
5. **Müller, F. C. Johann.** Die Politik Preussens seit Friedrich's d. Gr. Tode. 1832. Altenburg.
6. **Neyfeld, Carl.** Polens Revolution u. Kampf im Jahre 1831. Hanau, 1833. (Część pierwsza).
7. **Niemcewicz, J. U.** List do Karola Kniaziewicza. 1835. Paryż — wierszem, z wizerunkami Kniaziewicza i Kościuszki.
8. **Poien von Brougham** (Lord John Russel Zweite Aufl. vermehrt mit Polens Wiederaufleben — von 1796 bis auf unsere Tage — von Leonard Chodźko, nebst einem Anhang enthaltend die Ereignisse von 1831 u. d. Proclamation des russ. Kaisers. 1831. Brüssel.
9. **Polens Schicksale** seit 1763 bis zu d. Augenblicke, wo es sich für unabhängig erklärte. 1831. Paris.
10. **Zakrzewski, Hjacynt.** Mowa na obchodzie żałobnym za duszę ś. p. Tad. Kościuszki w kościele katedralnym poznańskim dnia 19 grudnia 1817 r. miana. Drukował Deker i Sp. (w Poznaniu). Bez miejsca i roku.

Administracja Tygodnika Wielkopolskiego

uprasza o pospieszne zapisywanie się na poczcie tak dawnych jak nowo przystępujących abonentów, tak aby można było rychło uregulować ilość nakładu, począwszy od następnego numeru, który wyjdzie już w nowym kwartale.

(Nadesłano).

Odezwa do N. N. ostatnim razem **A. B. Thorn p. r.**

Na me pismo przed kilkoma miesiącami odesłane proszę mi dać pomyślną lub niepomyślną odpowiedź. Przyzwoitość nakazuje P. wyrazić swe powody. Życzeniom P. w każdym względzie zadość uczynić mogę, do czego piśmienne porozumienie wystarczy. Dyskrecja pewna. Moje obrazki proszę mi nadesłać. (128)

Towarzystwom Przemysłowym

i ich członkom polecamy usilnie wydane co dopiéro:

Ekonomja w życiu praktyczném. Cena 3 sgr.

O fizycznych własnościach powietrza. Cena 3 sgr.

Dla Towarzystw przemysłowych, które najmniéj 15 egz. tych dziełek zapiszą, po $2^1/_2$ sgr.

Następnie wyjdą:

Sposób zostania szczęśliwym.
Rola rozumu w produkcji.
Przemysł ludzki.
Przewidywanie i oszczędność.
Kredyt ludowy.

i podobnéj treści. Zbiór całkowity tych książeczek składać się będzie z 12, cena każdéj książeczki wynosi 3 sgr. franko z przesyłką $3^1/_2$ sgr.

Nadto zwracamy uwagę na wydane

Pracą i oświatą przez Dr. Szymańskiego. Cena 5 sgr.

Towarzystwom przemysłowym biorącym naraz przynajmniéj 10 egz tego dziełka zniżamy cenę na 3 sgr. za egzemplarz.

M. Leitgeber i Sp.

Wyjątek z katalogu naszéj

księgarni i antykwarni,

którą otwieramy w **Poznaniu**, przy ulicy **Wilhelmowskiéj** Nr. 18, z dniem 1go października b. r.

Polska.

158. **Russie** et la **Pologne**. Esquisse historique p. Th. de K. 1834. Berl. 1 tał. 10 sgr.
159. **Scheibe, Th.** Polen u. Maria Theresia, 2 dans un vol. rel. 1 tal. 5 sgr.
160. **Schmitt, Henryk.** Dzieje Narodu polskiego, potocznie opowiedziane. Tom I, — ob. poniżéj Dzieje Polski XVIII i XIX w. 1863. Lwów. 1 tal. 10 sgr.
161. — Rys dziejów Narodu polskiego — do r. 1763. Trzy tomy. 1855. Lwow 5 tal,
162. — Dzieje Polski XVIII i XIX w. osnowane przeważnie na niewydanych dotąd źródłach Ciąg dalszy dzieła „Dzieje Narodu polsk. potocznie opowiedz.“ 1866, Krak. 2 tomy w 1 opr. 2 tal. 5 sgr.
163. — Narodowość polska, jéj podstawy, rozwój dziejowy, przeobrażenia i zboczenia. 1862. Lwów. 10 sgr.
164. — Dzieje Narodu Polskiego — 2 pierwsze zeszyty. 1861. Lw. 13 sgr.
165. **Schweinichen, Hans.** Pamiętnik do dziejów Szląska i Polski, 1552—1602. przekł. skrócony Hier. Feldmanowskiego. 1870. Drezno. 20 sgr.
166. **Scriptorum** rerum Polon. et Prussicarum collectio nova. XV tractatus compl. Danzig. 1753. Knoch, E. 2 tal.
167. **Siemieński, L.** Podania i Legendy polskie, ruskie i litewskie. 1845. Pozn. 17 sgr.
168. **Sienkiewicz, Kar.** Skarbiec historji polskiéj. Tom II, Num. III. 1840. Paryż. 27 sgr.
169. **Skarbczyk** chronologiczny historji polskiéj p. X. U. R. 1862, Wilno. 2 serje. 9 sgr.
170. **Słotwiński**, ob. Jekel.
171. **Słowaczyński, Andr.** Statistique du roy. de Pologne. 1837. Paris. 13 sgr.
172. **Sobieszczański, F. M.** Wiadom. histor. o sztukach pięknych w dawnéj Polsce. 1849. Warsz. Tom II z rycinami. 25 sgr.
173. **Solignac.** Histoire génér. de Pologne. 1751. Amsterd. 5 vol. rel. 1 tal. 5 sgr.
174. — Allgem. Gesch. v. Polen bis auf gegenw. Zeit fortgesetzt u. mit einer Vorrede begleitet von C. F. Pauli. 1763. Halle. Francke, 2 dans un vol. rel. 4o. 4 tal. 8 sgr.
175. **Statuta** Polskye Cróla Kazimirza **Wysslicii** słozone — oddruk manuskryptu. 2 tal. 10 sgr.
176. **Starza, Józ. Alex** Domowa Zagroda. Rysy dziejów polskich w opowiadaniu powieściowém dla Młodzieży. 2 tomy w 1 opr. 1847. Warsz. 27 sgr.
177. **Starowolski, Szym** (Simon Starovolscius). Sarmatiae Bellatores. 1733. (Wratislaviae). 1 tał 20 sgr
178. — Polonia nunc denuo recogn. et aucta — acc. Index rerum cum praefat Herm. Conringii. 1733. (Wrat.) avec 2 cartes géogr. 1 tal. 25 sgr.
179. — Scriptorum Polonicorum Ekatontas (ibid) — il en manque la 2e moitié. 10 sgr.
180. **Starożytności** polskie. Ku wygodzie czytelnika porządkiem abecadłowym zebrane. 1842 Poznań. 2 tomy opraw. 6 tal. 20 sgr.
181. **Stary Kosmopolita** Syrach do Konwencyi Narodowey. 1795 w Sarmacyi — Uwagi o związku interessów Polski z interessami polit. innych Europ. mocarstw — tamże. — O Statystyce Polski krótki rzut Wiadomości, potrzebnych tym, którzy ten kray chcą oswobodzić, i tym, którzy w nim chcą rządzić. 1807. Warsz. — Uwagi nad teraźniejszém położeniem tey części Ziemi Polskiey, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Xięstw. Warszawskim. 1808. Lipsk, w jednym tomie opr. dobrze zachowanym. 3 tal. 12 sgr.
182. **Steiner, Ch G.** Polnische Bibliothek. 1787—S. Warschau u. Lpzg. 9 zeszytów. 21 sgr.
183. **Steinwehr, W. B. A. de.** Regiae in Polonia dignitatis origines. 1758. Frkft. a. d. O. Kleyb. 3 sgr.
184. **Stolterfoth, Gottfr.** Entw. e pragmatischen Geschichte von Polen. 1768, Lpzg. avec 3 portr. et une carte 1 tal. 15 sgr.

Ponieważ „Westa“ pod dniem 8 sierpnia uzyskała sankcją królewską, urządzamy więc w odpowiednich miejscowościach

Agentury generalne, główne i specjalne.

Spieszne zgłoszenia o nie z dołączeniem referencji są pożądane.

„Westa“

Bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.